

Katarzyna Kobro-Okołowicz*, Przemysław Pawlak**

„To było czyjeś życie”

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2022.048>



Katarzyna Kobro-Okołowicz i Przemysław Pawlak

Fot. Stefan Okołowicz

109

LITTERARIA COPERNICANA 4(44) 2022

ISSNp 1899-315X

ss. 109–117

* Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, współfundatorka i członkini zarządu Instytutu Witkacego, biografka Małgorzaty „Mao Star” Starowieyskiej i Jadwigi Witkiewiczowej; działaczka społeczna, specjalistka ds. interwencji kryzysowej i pomocy psychologicznej 2 stopnia (Instytut Psychologii Zdrowia PTP), członkini kapituły Nagrody „Okulary ks. Kaczkowskiego. Nie widzę przeszkód”.

** Doktor nauk o sztuce Instytutu Sztuki PAN, prezes Instytutu Witkacego, członek Rady Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku (2018–2022), zastępca redaktora naczelnego półrocznika „Witkacy!”.



Przemysław Pawlak (P.P.): Zaczniemy od alternatywnej rzeczywistości – Jadwiga Witkiewiczowa dożywa roku 1988 i sprowadzenia szczątków z cmentarza w Jeziorach.

Katarzyna Kobro-Okolowicz (K.K.-O.): Nie przeżyłaby tego. Starła się o ekshumację zwłok męża od zakończenia wojny i takiej farsy by nie zniosła.

P.P.: Myślę, że przy jej charakterze, irracjonalnej wręcz determinacji i – najważniejsze – osobistym zaangażowaniu emocjonalnym Nina nie pozwoliłaby na fuszerkę, zajrzała do trumny już w Ukrainie. Gdyby ona brała udział w tym przedsięwzięciu, to na Pęksowym Brzyzku nie odbyłby się pogrzeb wcale albo pochowałiby rzeczywiście Stanisława Ignacego. Przez 45 lat była jego najbardziej oddaną, niezawodną, wszechstronną asystentką i recenzentką. Ty zresztą wiesz o niej najwięcej.

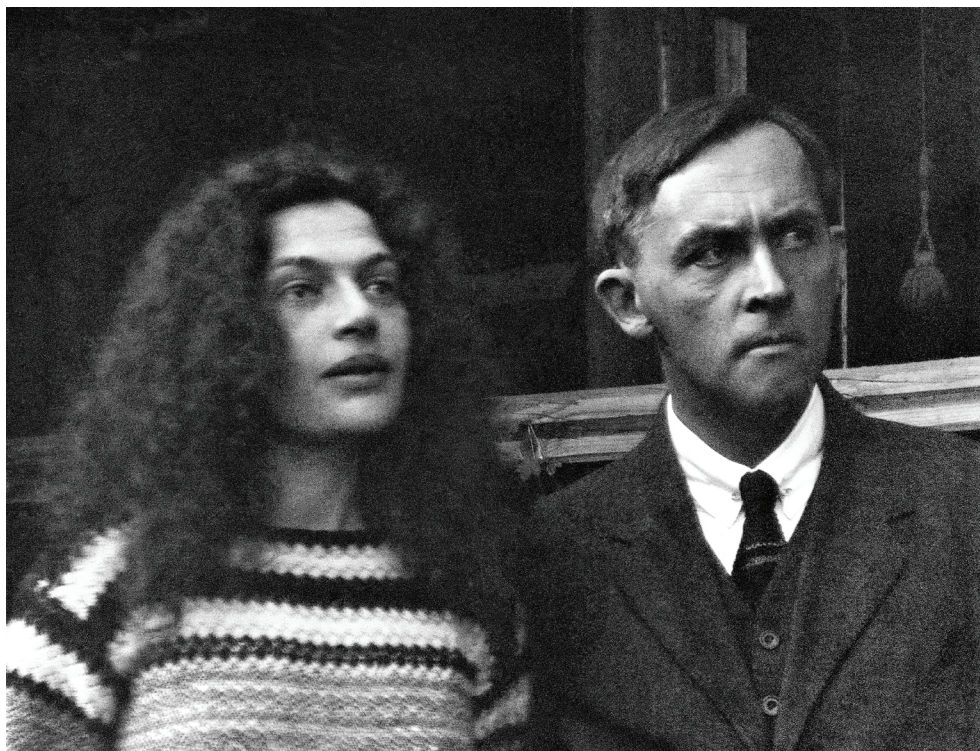
K.K.-O.: To tak lekko teraz można podsumować, że była właściwie pełnoetatową menedżerką. Zastanówmy się jednak, co to znaczyło i jak to wyglądało w praktyce, nawet nie w czasie II wojny światowej, bo to był koszmar trudny do wyobrażenia, ale po wojnie. W Krakowie miała do dyspozycji na Krupniczej najpierw duży pokój gościnny, największy. W pewnym momencie musiała się jednak przenieść do dużo mniejszego pomieszczenia, kuchni właściwie. Byłam w tym mieszkaniu, to była kuchnia, w której Nina nie mogła pomieścić wszystkich pamiątek po mężu i obrazów, przede wszystkim dużych, olejnych kompozycji formistycznych. Gdy chciała odwiedzić Flukowskich albo szukać jakiegoś nowego lokum w Warszawie czy w Zielonce, zostawiała obrazy na przechowanie u Stefana Szumana. Ale u niego te dzieła też zajmowały za dużo miejsca. Rodzina je przedstawiała w korytarzu. Profesor prosił Witkiewiczową o ich zabranie, lecz ona kilkakrotnie tłumaczyła, że nie ma gdzie ich podziąć. Wreszcie Szuman oddał obrazy, m.in. *Kuszenie świętego Antoniego* i *Topielice* do Muzeum Narodowego w Krakowie (MNK) i tak zostało. Nina musiała się z tym pogodzić, zresztą zależało jej na tym, by spuściznę po Stasiu zabezpieczyć.

P.P.: A placówka muzealna po prostu to bezpieczeństwo gwarantowała.

K.K.-O.: Zachowała się korespondencja Witkiewiczowej z MNK w tej sprawie. Teraz, po ponad 30 latach od ostatniej wystawy monograficznej Witkacego, Muzeum Narodowe w Warszawie zorganizowało wielką czasową ekspozycję „Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia” i te obrazy z Krakowa na nią wypożyczono. To trzeba podkreślić, że zostały ocalone przez Ninę i dzięki niej mogły w tym roku na kilka miesięcy wrócić do Warszawy. Podobnie było choćby z Czesławem Miłoszem i jego udziałem w wydaniu *Księgi pamiątkowej* w latach pięćdziesiątych. Nina usilnie go prosiła, by przysłał swój tekst, który ostatecznie dzięki jej uporowi w tym tomie się ukazał. Była po prostu nieustępliwa i konsekwentnie naprzykrzała się wielu ludziom, którzy mieli wówczas coś do powiedzenia w życiu kulturalnym PRL.

P.P.: To przykłady bardzo istotnych działań Niny jako menedżerki Witkacego. Musiała się tak zachowywać, by spopularyzować jego twórczość.

K.K.-O.: Tak, ale pomyśl, co to znaczyło w jej sytuacji życiowej. Ona przez wiele lat zwyczajnie się tulała, a była już starzejącą się, bezrobotną i schorowaną kobietą.



Witkiewiczowie, fotografia ślubna, 1923

Zdjęcie z kolekcji Stefana Okołowicza

P.P.: To Miłosz właśnie pomagał Ninie, zlecił jej maszynowe przepisywanie tekstów i w ten sposób umożliwił jakiś niewielki zarobek. Później, gdy w Paryżu opublikował *Zniewolony umysł*, gdzie wprost odwołał się do *Nienasycenia* i ściągnął na Witkiewiczową jakieś poważne przykrości w Polsce, Jerzy Giedroyc poczuł się w obowiązku wesprzeć wdowę. Przesyłał jej m.in. kawę.

K.K.-O.: Potem, gdy otrzymywała inne paczki z Londynu, myślała, że ich nadawcą też był Miłosz. Jedną z nadawczyń była tymczasem Krystyna Ejböl, przedwojenna przyjaciółka, z którą Witkiewiczowie widywali się w Sopocie. Kawa z paczki pomieszała się z solą i trzeba było odsiewać ziarna. Innym razem Ejböl przysłała jej ubrania i pościel, za co Nina była ogromnie wdzięczna. Jednak najbardziej cieszyła się z kawy.

P.P.: To był zawsze w PRL towar luksusowy, bo deficytowy, prawdziwy środek płatniczy. A jak to się stało, że Stefan i Maria Flukowscy tak zbliżyli się do Witkiewiczowej? Tym wydaniem *Szewców* i *W małym dworku* w 1948 roku w serii redagowanej przez Flukowskiego?

K.K.-O.: On był szefem krakowskiego oddziału Związku Literatów. Mieszkali w tym samym słynnym Domu Literatów przy Krupniczej, z córką Haliną Leszczyńską, późniejszą onkolożką. Po ludzku zwyczajnie ubolewali nad losem Niny, a z czasem ją pokochali, jak członkinię rodziny.

P.P.: Na Krupniczej przecież jednak mieszkało lub było mnóstwo ludzi, którzy przed wojną znali albo Witkacego, albo podziwiali jego twórczość, albo nawet znali Jadwigę, choćby Jadwiga i Kazimierz Wykowie, Tadeusz Różewicz. I tylko Flukowscy ją rzeczywiście wsparli?

K.K.-O.: Tak, w sumie tak. Flukowska nie była zwyczajną sąsiadką. Ze wspomnień wielu osób wynika, że ciągle zajmowała się losem innych, w czasie wojny konspirowała, ratowała z Haliną rodziny żydowskie. Zresztą dwudziestoletnia Halina, ranna, ledwie przeżyła powstanie warszawskie, w którym wykazała się bohaterstwem i poświęceniem. Flukowska od listopada 1946 roku była przez pół roku więziona na Rakowieckiej w Warszawie. Mimo to wciąż znajdowała energię, wiarę w sens i życzliwość dla takich samotnych kobiet jak Nina. Gdy ta opowiedziała o swoim życiu, zbliżyły się do siebie, stopniowo zaprzyjaźniły.

P.P.: Czy Nina łatwo nawiązywała kontakty?

K.K.-O.: To był okres, kiedy już nie przekraczała pewnych granic w relacjach międzyludzkich, tak była nieszczęśliwa. Przecież w Krakowie miała bliskich krewnych – wujostwo Kossakowie zmarli w czasie wojny, ale w Kossakówce wciąż mieszkało cioteczne rodzeństwo Niny, Jerzy z drugą żoną i córkami, a także Magdalena Samozwaniec. Właśnie chyba z nią i pokojówką dochodziło do absurdalnych nieporozumień. Nina, która tam też jakiś czas mieszkała, była posądzana o uwodzenie Zygmunta Niewidowskiego, narzeczonego Magdaleny. To wzajemne bytowanie okazało się niemożliwe, jak to często bywa, gdy trzeba dzielić dom z rodziną zbyt długo.

P.P.: Niedaleko z Krakowa było do Zakopanego. Czy Nina utrzymywała kontakty z Marią „Dziudzią” Witkiewiczówną?

K.K.-O.: Na Antałówce mieszkali już w czasie okupacji niemieckiej Czarnoccy, Zagórscy, bo po śmierci ciotki Marii Witkiewiczówny w 1940 roku Jan Koszycz-Witkiewicz zabrał swoją siostrę Dziudzię do Warszawy, a po wojnie wydzierżawili Witkiewiczówkę Stowarzyszeniu Historyków Sztuki. Nic nie wskazuje na to, by Nina kiedykolwiek po wojnie pojawiła się pod Tatrami. Z Witkiewiczami widywała się natomiast w późniejszych latach w Warszawie, przy kawie i brydżu wspominali dawne czasy. Wreszcie w latach sześćdziesiątych, prawdopodobnie dzięki zabiegom Samozwaniec u Józefa Cyrankiewicza, Nina dostała przydział na mieszkanie przy Kruczej. Małeńka kawalerka przypominała trochę Krupniczą.

P.P.: Ale po 20 latach wreszcie mogła się tam poczuć u siebie.

K.K.-O.: Wielkie znaczenie miało też to, że było tak blisko Brackiej 23.

P.P.: Zbierając materiały do biografii Jadwigi, musiałś prześledzić wszystkie jej działania w ramach Firmy Portretowej „S. I. Witkiewicz”, kontakty z klientami chociażby.

K.K.-O.: Na ten temat przetrwało bardzo mało informacji. W zasadzie wszystko, co wiemy, pochodzi z *Listów do żony*, wzmianki o zaległych płatnościach, prośby o kontakt

z portretowanymi. Więcej materiału udało się zebrać o okresie sprzed ślubu z Witkacym, sprzed I wojny światowej, z jej edukacji i prowadzenia pensjonatów przez matkę, Jadwigę Unrużynę, a także o pracy zarobkowej Niny. To jest dość imponujące.

P.P.: Czy zachowały się jakiekolwiek listy Niny do męża, skoro ona zabezpieczyła ponad 1270 z tych wysłanych przez niego?



Jadwiga Witkiewiczowa
Zdjęcie z kolekcji Stefana Okołowicza

K.K.-O.: Tak, ale chyba odnalazły się tylko 4 kartki, bardzo symboliczne, krótkie. Pisała, tak jak on, w zakodowany sposób, w istotnych sprawach. Świetnie rozumiała jego skróty i sama chyba w tych skrótach przodowała. Mam wrażenie, że nie lubiła do niego pisać, przynajmniej nie robiła tego tak chętnie jak on do niej. Oczywiście, kochała go, czuła przywiązanie, ale – bądźmy szczerzy – jego korespondencja była często zwyczajnym zawracaniem głowy, relacjonowaniem zwykłego życia codziennego. Szkoda, że prawie nic się nie zachowało z jej listów – wtedy moglibyśmy się dowiedzieć, jak to jej życie w Warszawie rzeczywiście wyglądało. Wydaje mi się, że była naprawdę samotna.

P.P.: Miała przecież adoratorów, nieprzeciętnych – Franciszka księcia Radziwiłła, zwanego Keko, dyplomatę Jana Zygmunta Michałowskiego czy Dominika Łempickiego. Tu ciekawostka – sprawdziłem w genealogii Minakowskiego, że ze wszystkimi trzema była bardzo daleko spokrewniona. Nic się nie zachowało, żaden ślad w czyichś wspomnieniach?

K.K.-O.: Nawet jeśli, to nikt o tym nie wie. Oni mieli przecież żony, rodziny. Korespondo-
wałam nawet z wnukiem jednego z nich.

P.P.: Chodziła pewnie na rauty, przyjęcia, aspirowała do wyższej sfery.

K.K.-O.: Ona sama w sobie była tą sferą, nie musiała aspirować. Na pewno sporo czasu spędzała w kawiarniach, kilka lat pracowała w Głównym Urzędzie Statystycznym, którego siedziba mieściła się blisko Brackiej, w kamienicy przy Jerozolimskich 32. Ze znajomymi z pracy mogła się spotykać, najbliższą jej koleżanką z pracy była młodsza o 10 lat malarka Rimma Szturm de Sztrem. Pamiętajmy, że Nina miała słaby organizm. Jej praca, zaniedbywanie czy nawet porzucenie przez ojca, utrata matki i siostry Zofii, zmarłych na gruźlicę w czasie I wojny światowej, samotne już potem przetrwanie pandemii hiszpanki – to wszystko bardzo mocno odbiło się na jej zdrowiu. Do Zakopanego pojechała po raz pierwszy po to, by podleczyć płuca. Przez to poznali się ze Stasiem. To wszystko, co się działo po ślubie z nim w Zakopanem, ten tryb życia – imprezy, papierosy, alkohol, niedobór snu – na dłuższą metę był pewnie dla niej fizycznie nie do wytrzymania. Moim zdaniem jej funkcjonowanie wcale nie było proste, była chorowita. Cierpiała – dziś byśmy powiedzieli – na silny stres pourazowy, który objawiał się nerwicą. Tak więc w balach charytatywnych, maskaradach, brała udział jeszcze za życia matki, przed wielką wojną. Potem Nina trwała poniekąd w żałobie po dawnych czasach. Zachowała jednak duże poczucie humoru.

P.P.: O tak, musiała je mieć, skoro wytrzymała z Witkacym.

K.K.-O.: Nina uważała, że tylko dzięki Bogu i bliskim, których już nie ma, mogła przeżyć obie wojny światowe, że jej też już nie powinno być – została ocalona. Była bardzo religijna. Inaczej nie dałaby sobie psychicznie rady. Straciła męża, mieszkanie, meble, prawie wszystkie rzeczy osobiste i stałe źródło utrzymania. Miała duży problem z nogą, złamaną i źle zrośniętą w czasie okupacji w Warszawie. Gdy po wojnie jechała na leczenie do Kościana, innych szpitali bądź sanatoriów, oczekiwała przede wszystkim spokoju i dostępu do odpowiednich środków medycznych, a nie znajdowała tam ani jednego, ani drugiego. Wszystkie te ośrodki jeszcze silniej ją traumatyzowały i przerażały. Zamiast spodziewanego

samodzielnego pokoiku, otrzymywała łóżko w kilkusobowej sali, na której inne pacjentki lub pensjonariuszki całymi dniami, a niestety i nocami, dzieliły się doświadczeniami wojennymi, opowiadały o swoich tragicznych doświadczeniach albo co najmniej chrapały. Gdyby chciała wyjechać, musiałaby znaleźć szofera albo furmana, potem godzinami tłuc się pociągami do Warszawy. Nie miała na to ani środków, ani sił. Co chwila musiała prosić o pomoc. W rezultacie przez ponad 20 lat dosłownie się tułała. To jest historia na film.

P.P.: Za Gomułki mieszkała też podobno w Hotelu MDM, a nawet w Bristolu.

K.K.-O.: W słynnym hotelu, tyle że na ostatnim piętrze, bez ogrzewania, ciepłej wody i mydła! Panowie byli mili i ją wpuszczali. Wykorzystała chyba życzliwość pracowników albo kierownictwa – ktoś widocznie pamiętał Wojciecha Kossaka, który tam w latach trzydziestych urządził pracownię, a może i samą Ninę, gdy zjawiała się u wujka na brydzu. To też gotowa scena do filmu!

P.P.: Wdowa z innej epoki, trochę przypominająca postaci ze sztuk Witkacego, wkraczała bez grosza przy duszy do warszawskich hoteli, roztaczając aurę książęcej elegancji. Odzwierciadleni byli pewnie zachwyceni i skołowani. Sama jej obecność nobilitowała (*śmiech*). Jakim cudem opłacała rachunki? Przecież tylko od czasu do czasu udawało jej się coś sprzedać – np. w 1953 roku niektóre rękopisy Witkacego do Ossolineum – lub uzyskać honorarium z Państwowego Instytutu Wydawniczego, który w 1957 roku wydał *Nienasyconie* oraz *Stanisław Ignacy Witkiewicz. Człowiek i twórca. Księgę pamiątkową*.

K.K.-O.: Pisałam do administracji Hotelu MDM, chciałam ustalić, gdzie była zameldowana – ciągle zmieniała miejsce pobytu – ale nie ma żadnych śladów.

P.P.: Mówimy o tułaczce Niny, ale z drugiej strony – w tych latach tułały się miliony Polaków, najpierw powracający z obozów, oflagów, robót przymusowych, repatrianci zza Bugu, przesiedleńcy na Ziemię Odzyskaną, ludzie, którzy też doświadczyli utraty wszystkiego, co posiadali przed wojną. Czy jej sytuacja była aż tak wyjątkowa?

K.K.-O.: O tyle, że ona wędrowała przez dziesiątki kolejnych adresów samotnie. Ludzie próbowali szukać lepszego losu zazwyczaj w grupach, rodzinami. Tak było rażniej, bezpieczniej i mogli przetrwać.

P.P.: Przykładem może być choćby siostra cioteczna Niny, starsza o trzy lata pisarka Zofia Kossak. Mimo ciężkich przeżyć, śmierci dwóch synów, pobytu w Auschwitz, na Pawiaku, udziału w powstaniu, trudnej emigracji powojennej, w 1957 roku wraz z drugim mężem Zygmuntem Szatkowskim, przeprowadziła się z Anglii do Polski. W Górkach Wielkich zamieszkali w dawnym domku ogrodnika – dwór został spalony w 1945 roku.

K.K.-O.: Nawet tam wszyscy dostrzegali osobność i kruchość Niny, nieodłączne rękawiczki, ale i papierosy. Jej już nigdy po 1939 roku nie było dobrze. Dla współczesnych psychologów to jednoznaczne objawy. Byłoby jej zdecydowanie łatwiej, gdyby los bezdomnej

wdowy dzieliła z jakąś serdeczną przyjaciółką. Tymczasem wszędzie wokół widziała ludzi mogących liczyć na wsparcie jakichś bliskich. Układali sobie życie w nowych związkach. Ona do końca już nie miała nikogo.

P.P.: Dlatego zwróciła się tak silnie ku przeszłości i tyle energii poświęciła najpierw na odnalezienie i zabezpieczenie, a później na promowanie dorobku swojego męża.

K.K.-O.: Pod koniec życia wysyłała wiele listów do zagranicznych wydawnictw w sprawie tłumaczenia dramatów, m.in. na francuski. Gdyby przeżyła jeszcze z 10 lat, mogłoby dojść do ciekawych sytuacji. Nina mogłaby doczekać się honorariów dewizowych, które odmieniłyby jej starość. Przede wszystkim miałyby pewność, że twórczość Witkacego znalazła odbiorców prawie na całym świecie.

P.P.: Mało brakowało, by ta międzynarodowa kariera pośmiertna zaczęła się dużo wcześniej. Wszyscy zapomnieli, że już w 1946 roku Jan Brzękowski próbował wydać we Francji *Pożegnanie jesieni*, miał kłopoty finansowe, szukał możliwości zarobku i Jadwiga udzieliła mu listownej zgody. Tłumaczył powieść najpierw razem z Jeanem Follainem, potem samodzielnie; po przełożeniu wstępu i 20 stron tekstu poszedł do Gallimarda, gdzie przyjął go sam Raymond Queneau. Brzękowski zostawił mu maszynopis i po kilku dniach wrócił po odpowiedź. Queneau był zainteresowany i poprosił o 100 stron, by dać ostateczną odpowiedź. Niestety, mimo kilku podejść Brzękowski nie ukończył pracy, prawdopodobnie też dlatego, że w tym czasie został dyrektorem uzdrowiska i hotelu w Amélie-les-Bains.

K.K.-O.: To nasze zadanie, by zrekonstruować jak najwięcej faktów z biografii naszych bohaterów i bohaterek, by rzucić więcej światła również na niedoszacowaną dotąd rolę kobiet w historii kultury. Nagle okazuje się, że wiele partnerek, matek i córek wspierało wielkich artystów nie tylko prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci, ale wieloletnimi profesjonalnymi działaniami promocyjnymi, redakcyjnymi czy impresaryjnymi.

P.P.: Nie da się już od-zobaczyć, od-wiedzieć, zapomnieć i żyć spokojnie ze świadomością, że nie poszło się po jakimś tropie, nie sprawdziło, nie uratowało dokumentów, nie przepytano ostatnich świadków epoki. To już są wtedy nasze sprawy. Tylko po co my to w ogóle ocalamy?

K.K.-O.: Ocalamy czyjeś światy. Świat Mao Star, czy świat księdza Henryka Kazimierowicza. Gdyby nie nasza praca, ich historie, tak jak historia Witkiewiczów, nie zostałyby ocalone. To było czyjeś życie. Chociaż nie było usłane różami, to kierowali się ideami. W gruncie rzeczy to były osoby nieprzeciętne, odkrywcy.

P.P.: A czy nie jest to sposób na ocalenie nas samych? Czy nie boimy się, że jeśli nie zadamy o ich dorobek, to kiedyś może nikt nie zadba o nasz? Ile w pisaniu biografii jest naszego narcyzmu?

K.K.-O.: Podejmując decyzję o pracy nad czyjąś biografią, rozpoczyna się drogę. Wchodzimy w te wyjątkowe losy i wtedy to już jest nasza wspólna historia. Ale chodzi przede wszystkim o to, że chcemy uratować jakiś fragment kultury. Podobnie Nina, choć fizycznie słaba, mimo że jej życie było czasem prawdziwą męką i walką z przeciwnościami, to nie tylko przetrwała hekatombę, ale znalazła cel w dalszej drodze: uratować twórczość Witkacego, a przez to też swój wkład w jego dzieła. Żyła 75 lat.